

Nr. 3. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci,
Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **1. Lutego.**

O WYNALAZKU PISMA I DRUKU.

(Dokończenie.)

O rozwoju sztuki drukarskiej od czasów Guttenberga wiecie już z pierwszego jeszcze rocznika Przyjaciela, więc nie będę tutaj powtarzał tego samego.

Wiecie również że po zjawieniu się druku w Niemczech zaraz w Krakowie zjawił się niemiec Ginter Zajner, drukarz a raczej kramarz z książkami jeżdżący — po nim Świętopełk

Fiol, który pierwsze książki słowiańskie w r. 1490 i 1491 drukował. Po nich zamożny krakowski obywatel Jan Haller, który łożył na drukowanie dzieł za granicą, sprowadził do Krakowa drukarnię stałą, mając przytem handel winny. Handlował on toż samo cyną i innemi towarami, poczem ogłosił się księgarzem. Odtąd kilka drukowano książek łacińskich w Krakowie, lecz najpierwszą polską książką była: Żywot Pana i Boga naszego Jezusa Chrystusa, pisany przez św. Bonawenturę, a tłumaczony przez Bałtazara Opecia, mistrza krakowskiego w r. 1522.

Póżniej w 1575 r. zaczęły dopiero lwowskie i warszawskie drukarnie najprzód łacińskie, potem polskie książki drukować.

Teraz chcę wam jeszcze powiedzieć nieco o pożytku sztuki drukarskiej. Wszystko się coraz bardziej doskonaliło, wzrastało i potężniało; owoż i prasy drukarskie wielu ulepszeniom uległy. Do czego dawniej długiego potrzebowano czasu, dzisiaj w kilku odbywa się minutach. Znaną jest na całym świecie prasa Mammuta, 40 stóp długa a 20 wysoka, którą już 1790 r. Nichelson, anglik, rozpoczął a dopiero 1848 r. kto inny wykończył. Ta tedy prasa w jednej godzinie pięknego druku 10.000 arkuszy wydaje. Lecz ją przewyższa jeszcze inna i wszystkie w świecie się znajdujące, która w trzech godzinach od 9 rano do 12 w południe codziennie 50.000 do 60.000 arkuszy wydaje; 16 robotników do służby potrzebuje, a ci uczynią tyle co dawnemi czasy 60.000 robotników na ręcznej prasie. Olbrzymia ta prasa o 1200 kołach kosztuje 20.000 dolarów. Wybudowano ją dla czasopisma New York Sun w Nowym Jorku, w Ameryce, które przed dwudziestu laty na ręcznej prasie jeden robotnik drukował; dzisiaj maszyną o której mowa w pomienionym czasie 60.000 odcisków dostarczyć można.

Tak więc z jednej myśli człowieka co to powstać mogło! I komuż to zawdzięczyć mamy? Nie komu innemu lecz Ja-

nowi Guttenbergowi dobroczyńcy ludzkości. Nie wojny, nie krwawe sceny uszlachetniły ludzkość i podniosły ją do wysokiej potęgi i ukształcenia — ale dzieło poczciwego mogunckiego obywatela, któremu wielką wdzięczność winni jesteśmy. Wieki przeminą a imię jego na zawsze przechowane zostanie. Od czasu jego wynalazku przebiega człowiek myślą cały świat. Teraz czytamy co się działo lub co myślano przed wiekami. Wielkie czyny i wielkie myśli nie idą już w zapomnienie; pismo podaje je wiernie dla wszystkich czasów i ludzi. Wieki ciemnoty już wrocić nie mogą, bo świat ciągle postępuje, a żadna myśl wielka i szlachetna nie zaginie drukiem w późne przekazana pokolenia.

Człowiek z natury swej nie poprzestaje na jednym wynalazku, ale coraz dalej sięga, bada i odkrywa. Na tem zależy postęp. Już i dawniej nie poprzestawano na samym wynalazku druku; starano się coraz więcej odkrywać w tym przedmiocie i sztukę tę coraz bardziej doskonalić. I tak wynaleziono sposób drukowania map, mapografię; wprowadzono w użycie druk różnemi farbami; odkryto stereotypję czyli sztukę odbijania pisma, litografię, sztukę odbijania pisma na kamieniu, potem stenografię, czyli nauką szybkiego pisania w skróceniu, tudzież znaki czyli pismo szczególne przy telegrafowaniu używane. Czegoż to się jeszcze późniejsze pokolenia doczekać nie mogą? Dawnemi czasy drukowano niezgrabnie, nieczytelnie, wielkiemi literami; później tak się wydoskonalono przy pracy i pilności, że już w 1570 r. w Antwerpii wyszła u Platina, drukarza, łacińska książeczka do modlenia tak małej objętości, że 1¼ cala miała wysokości a szerokości ani cala, bo tylko 10 linji. Dzisiaj drukują w różnej wielkości i wszelkiego rodzaju pisma, które i najubożsi czytywać mogą, nie kosztują bowiem wiele pieniędzy. Dawniej chętnieby ludzie czytali, ale nie będąc w stanie nabywać książek, żyli nieoświeceni. Zatem kiedy teraz taniej i daleko piękniejsze sprzedają książki, starajcie się drogie dziatki nabywać je i z nich korzystać. Dziś człowiek bez nauki

nic nie znaczy i ojczyzna takich nie potrzebuje, boć nawet od ludu prostego wymaga nauki, której wy byście mu udzielać mogły, jeżeli sami pracą i pilnością postaracie się o jej nabycie. Nie kocha ojczyzny kto naukę zaniedbuje.

J. z B.

SKOWRONEK I DZWONEK.

(Z WIĘZIENIA.)

Najrańszy spiewak to nasz skowronek,
I dnia zwiastunem jest mały dzwonek...
Kiedy spią jeszcze dzwony stolicy,
Ptaszek pieśń nuci Boga - Rodzicy:
I mała rybka budzi się w zdroju
I w kwietne łąki pospiesza pszczółka,
I wstają ludzie pracy, pokoju,
A dzwonek mały z wieży kościółka
Gdy Pozdrowienie Anielskie dzwoni
To niby łezki po rosie roni....

Kogo Bóg w łasce tak pięknie stworzy
Że równo z ptaszkiem zrozumie ranek,
A równo z dzwonkiem wita dzień boży:
To mu się życie złoży jak wianek,
Bo mu i ranek nie będzie marny,
Ni młodość jego będzie daremną,
I dzionek dalszy nie będzie skwarny,
I wieczór piękny i noc nie ciemna;
Bo pojmie ziemię w spiewie skowronka
A głosy nieba w odgłosie dzwonka.

Niechaj wam dzieci Bóg błogosławi!
Niechaj Stróż Anioł waszej młodości
W imię skowronka i dzwonka sprawi
Byście się znały tutaj za gości;
Jak pieśń skowronka niech życie spłynie,
Miła niech pamięć po was zostanie,
Jako po gościu w miłej dziedzinie!

Ciche niech będzie wasze zaranie
I każdy dobry czyn wasz zakryty,
Wieczór spokojny, dzień pracowity!

Tego wam życzę z mego więzienia!
Ja tu nie słyszę pieśni skowronka —
Tylko mi głosi pieśń pozdrowienia
Ten rzewny odgłos rannego dzwonka....

Win. Pol.

PRZECHADZKA PO LWOWIE.

— Otoż i środa, rzecze Zygmuś, wchodząc do pokoju dziadka, przychodzę dziaduniowi przypomnieć obietnicę.

— Obietnicę? Jakąż to moje dziecię? zapyta staruszek, poglądając na wnuka z dobrotliwym uśmiechem.

— Dziadunio zapomniał? Wszakże dziś mieliśmy iść na przechadzkę. Dziadunio obiecał mię zaprowadzić na Wysoki Zamek, i jeszcze gdzie indziej, jeżeli czas pozwoli.

— Prawda, prawda, odrzecze staruszek; co przyrzekłem to dotrzymam. A nie będzie za gorąco?

— Bynajmniej kochany dziaduniu, odpowie Zygmuś, czas właśnie taki jaki dziadunio lubi.

— No, to zbierzże się mój chłopcze, bo pójdziemy niebawem.

Za chwilkę wrócił Zygmuś zebrany, dziadunio był już gotów, i poszli. Chłopczyk nieustannie zapytywał dziadunia o wszystko co go uderzało, a staruszek chętnie mu odpowiadał.

Gdy wychodzili z ulicy Łyczakowskiej Zygmunt zwrócił uwagę na szczątki dawnych murów fortyfikacyjnych, a że udali się na prawo i szli plantacjami ciągnącemi się wzdłuż gmachów Namiestnictwa, dziadek pokazał którędy niegdyś szedł pas murów miejskich, i tak mówił:

— Po rozebraniu tych murów długi czas stosy gruzów rumowiska leżały w tem miejscu, w którem teraz tak nam miło przechadzać się w cieniu drzew. Koło tej góry, na której stoi klasztor XX. Karmelitów, tu gdzie dziś pałac ks. Arcybiskupa, i dalej aż po klasztor PP. Benedyktynek, którego mury szarzeją z daleka, ciągnęły się niegdyś jary i przepaście. Dopiero koło roku 1814 wyporządzono kamienice stojące wzdłuż dawnych wałów, wyrównano i zasadzono plac przed gmachami Namiestnictwa, w następnych latach zasypano padoły koło klasztoru PP. Benedyktynek i powysadzano szkarpy drzewami, i tak powoli powstały te piękne plantacje.

— A przedtem zapyta Zygmuś, gdzież używali świeżego powietrza dawni mieszkańcy Lwowa?

— Póki Lwów był fortecą, odrzecze dziadunio, mieszkańcy miasta, chcąc użyć świeżego powietrza, wychodzili za mury, do pobliskich lasów, na pola i wzgórza okoliczne, a przedmieszczanie, zamieszkujący dworki otoczone parkanami lub sztachetami, kwiatkami i drzewkami na podwórku, mieli w każdej chwili podostatkiem świeżego powietrza i nie potrzebowali się ubiegać za przechadzkami. Później, gdy z powodu zburzenia murów fortyfikacyjnych i zaniedbania dawnych fos powstały wszędzie stosy rumowiska i błota, które bardziej jak najsilniejsza twierdza broniły starszym, a jeszcze więcej dzieciom dostać się za miasto, przechadzano się po wałach nad Pełtwią leżących, które były od strony rzeki wierzbami podparte a zewsząd otoczone błotami i trzęsawiskami, aż i te nareszcie wyporządzono, wyrównano i wysadzono drzewami. Od tego czasu wiele się we Lwowie zmieniło; rokrocznie przybywa tej stolicy ozdób wszelakiego rodzaju, powstają nowe ulice, mnożą się przechadzki, upiększają place, powstają nowe gmachy, jako to na przykład ten pałac.

— A czyj to ten pałac kochany dziaduniu? zapyta Zygmuś.

— Jest to pałac Arcybiskupa.

Zygmuś z podziwieniem i uwagą przypatrywał się wspaniałej budowie.

Udali się potem w ulicę na prawo koło kościoła św. Kazimierza wiodącą. Dziadunio objaśnił Zygmusia że kościoł ten należał dawniej do księży Reformatów, ale później oddany został Siostrom Miłosierdzia, które zarządzają tu szpitalem i domem sierot przy kościółku św. Wincentego a Paulo, obok stojącym. Uszli znowu paręset kroków, a Zygmuś ujrzawszy z daleka wielki budynek, otoczony do koła sztachetami:

— Cóż to za gmach, dziaduniu? zapytał.

— Ten budynek nazywają powszechnie Czerwonym klasztorem, odpowie dziadek.

— Dla czegoż czerwonym? i dlaczego klasztorem? Wszakże jest żółty, i raczej na koszary wygląda.

— Rzeczywiście są to koszary, ale przerobione z klasztoru XX. Teatynów.

— Ale otóż i ruiny Wysokiego Zamku.

— Tak, ale nie tędy do nich pójdziemy; pokażę ci drogę o wiele wygodniejszą.

— Bardzo dobrze dziaduniu, lecz znowu widzę jakiś wojskowy budynek, tylko że za mały na koszary.

— To dawny kościółek św. Wojciecha, przerobiony na skład rzeczy wojskowych. Tu jak widzisz, dzieli nam się droga. Ta wąska stroma ścieżka prowadzi do zakładu kąpielowego Kisielki, a ta do plantacji, które mamy zwiedzić.

— Ach! jakiż prześliczny widok! zawoła Zygmuś.

— Rzeczywiście jest bardzo piękny, rzecze dziadunio, i nie masz we Lwowie piękniejszego miejsca do przechadzki jak to, pomimo tego jednak mało jest uczęszczana; bo droga która prowadzi pod górę jest nieco męcząca, a że i my jesteśmy trochę znużeni, a jeszcze daleko iść mamy, przeto odpocznijmy, aby nam nie zabrakło sił do dalszej przechadzki.

To powiedziawszy dziadunio usiadł na wygodnej ławeczce w klombie cienistych drzew, ale Zygmuś uderzony piękno-

ścią widoku, nie mógł od niego oczu oderwać i zachwycał się urokiem doliny leżącej u stóp góry — Dziadek powtórnie zawołał na niego aby usiadł, i chłopczyna musiał być posłuszny.

— Spojrzyj no tu Zygmusiu na dół, gdzie ten staw i dalej ta wioseczka, co ją widać z daleka, rzecze dziadunio, i przypatrz się dobrze temu miejscu, jest ono sławne wielkiem zwycięstwem, które tu przed laty król Jan III. odniósł nad Turkami i Tatarami.

Zygmuś stanął na ławeczce aby się lepiej przypatrzeć. Dziadunio mówił dalej:

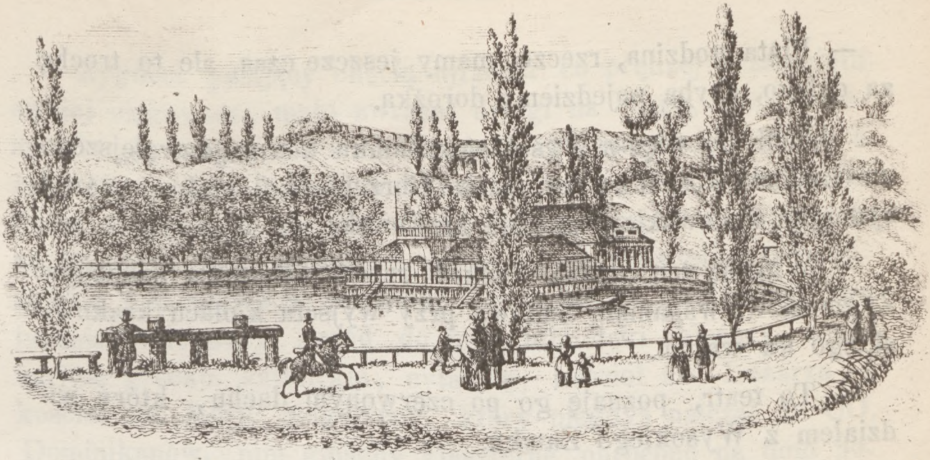
— Było to r. 1675. Sułtan turecki wtargnął do Polski z licznem wojskiem, i splądrowawszy Ukrainę i Ruś, wysłał pod Lwów 40.000 Tatarów. Król Jan zebrawszy naprędce ledwie do 5.000 wojska polskiego, pospieszył na obronę Lwowa, i Bóg mu poszczęścił, bo oto w kilka godzin zniszczył Tatarów zupełnie, a na tę pamiątkę wioskę, przy której się to stało, nazwano Z n i e s i e n i e m.

— O! teraz jeszcze mi tutaj przyjemniej, rzecze Zygmuś, kiedy to miejsce tak jest sławnem.

— Sławnem jest i drogiem dla każdego Polaka, dodał dziadunio; ale idźmy dalej.

Piękna cienista aleja, wygodne chodniki, tu i owdzie rozrzucone klomby prześlicznych kwiatów, tudzież rozmaite zabytki starożytności, które tu w rozmaitych miejscach poustawiano, wszystko to zachwycało Zygmusia. Gdy już całe zwiedzili plantacje, udali się na najwyższy szczyt góry do ruin Wysokiego zamku. Zygmuś po raz pierwszy w życiu widział rozwaliny zamku, to też przypatrywał im się z wielkiem podziwieniem i uwagą. Dziadunio opowiedział mu w krótkości, że ten zamek był zbudowany przez Kazimierza Wielkiego na gruzach starego drewnianego zamczyska, którego założycielem miał być książę ruski Lew.

— Długo, długo ten zamek opierał się wpływowi czasu i napadom nieprzyjacielskim, mówił dziadunio, aż go nareszcie



SZKOŁA PŁYWANIA
WE LWOWIE.

Szwedzi podczas ostatniego na Lwów napadu zdobyli i zmienili w gruzy. Ale popatrz no, popatrz jaki to wspaniały widok przed tobą!

Zygmuś spojrzał przed siebie — całe miasto u stóp jego leżało, klasnął w ręce z radości, i nuż pytać dziadka o każden przedmiot, o każden gmach który mu wpadł w oczy. Usiedli obadwa na murawie, i dziadunio musiał mu po kolei rozpowiadać o wszystkich gmachach, kościołach, cerkwiach, pałacach i innych budynkach, które na siebie ściągnęły uwagę chłopczyka. Napatrzywszy się nareszcie do sytu, powrócili na dół tą samą drogą, i mieli udać się do domu, ale Zygmuś prosił usilnie dziadka aby mu przy tej sposobności pokazał z bliska niektóre z tych gmachów, które już widział z Wysokiego Zamku, a szczególniej pragnął obaczyć dom inwalidów i pływalnię, o której mu dziadunio wspominał już kilka razy; miał także ochotę zwiedzić zarazem ogród jezuicki i botaniczny, ale już o to nie śmiał się naprzykrzać dziaduniowi, bo widział że staruszek musi być strudzony.

Dziadunio spojrzał na zegarek.

— Piąta godzina, rzecze, mamy jeszcze czas, ale to trochę za daleko, chyba pojedziemy dorożką.

Udali się więc z Wysokiego Zamku koło najdawniejszego we Lwowie kościółka św. Jana Chrzciciela, i pięknej nowej synagogi żydowskiej, na plac krakowski.

— Widzisz ten gmach wielki? rzecze dziadunio pokazując Zygmusiowi wspaniałą budową przy wyjściu z placu krakowskiego ku wałom.

— To teatr, poznaję go po czerwonym dachu, który widziałem z Wysokiego Zamku.

— W tem miejscu stał niegdyś zamek Niskim zwany, pierwiastkowo założony także przez książęcia ruskiego Lwa, a przez Kazimierza Wielkiego odbudowany. W tym zamku przemieszkiwali niegdyś królowie polscy podczas pobytu we Lwowie, w nim mieściły się sądy: grodzki i ziemski. W północno zachodnim rogu tego Zamku stał kościółek św. Katarzyny. Do południowych murów zamkowych przypierały zabudowania klasztoru OO. Franciszkanów z kościołem ś. Krzyża, który później przerobiono na teatr, a jeszcze później, gdy zwaleniem zagrażał, rozebrano. Hr. Skarbek wystawił opodal ten oto nowy teatr.

Wtem nadjechała próżna dorożka, do której wsiadł dziaduniu z Zygmusiem i kazał jechać do domu inwalidów.

Dorożka toczyła się szybko ulicą św. Anny koło dawnego klasztoru PP. Brygidek, przerobionego na więzienie karne, koło kościoła św. Anny, przy którym jak zauważał dziadunio mieścili się niegdyś OO. Augustjanie, a ztąd gościńcem Kleparowskim, koło cmentarza żydowskiogo, wprost na miejsce wskazane, i dom inwalidów przedstawił się w całej okazałości. Piękna ta budowa, wzniesiona z cegieł białych i czerwonych wewnątrz próżnych, zachwyciła Zygmusia. Uderzony wspaniałością i lekkością kształtów, piękną symetrją gmachu, i wielu jego ozdobami, długo nie mógł oczu oderwać. Ale dziadunio przypomniał mu że pojadą jeszcze obejrzeć pływalnię, czem uradowany chłopczyna wskoczył prędko do dorożki; woźnica nawrócił, zaciął konie i popędził szybko.

Zygmuś pałający chęcią ujrzenia co prędzej przedmiotu swojej ciekawości, mało zwracał uwagi na drogę, którą przesuwała się dorożka, i w milczenin oczekiwał rychło stanie u celu. Nie prędko jednak doczekał się tego, bo z domu inwalidów do pływalni nie jest wcale blisko. Dostali się nareszcie na ulicę Szeroką, w miejscu gdzie się zaczyna ulica Ossolińskich, tak nazwana ponieważ prowadzi do bibljoteki tego imienia. Minąwszy ogród do tejże biblioteki należący, seminarjum grecko- katolickie, cytadelę, kościoł św. Łazarza, i kościoł św. Marji Magdaleny, który niegdyś należał do OO. Dominikanów, nim gmachy klasztorne obrócono na dom poprawy, ujrzeli wzgórza wznoszące się po nad Pełczyńskim stawem, a nareszcie i samą pływalnię.

— Nie tak tu dawniej było, rzecze dziadunio do Zygmusia z zadziwieniem przypatrującego się miejscowości. Cały staw był otoczony błotami, które prawie nie wysychały, a na brzegu przy którym stoi teraz ten piękny budynek, rzadko się kto kiedy pokazał. W dawnych czasach staw ten był własnością rodziny Pełków i dlatego do dzisiaj Pełczyńskim zwany. Kilka lat minęło nim te błota osuszono i pozakładano te piękne przechadzki, które teraz widzimy.

— Ach! dziaduniu, to się zdaje niepodobieństwem.

— Jednak tak jest; wreszcie nic w tym dziwnego, nie masz na świecie nic tak trudnego, czegoby człowiek usilną pracą nie przywiódł do skutku.

Gdy Zygmuś z jednej i z drugiej strony obejrzał pływalnię, i zaczął się unosić nad pięknością okolicy, i tego jakby po wodzie pływającego budynku, rzekł znowu dziadzio:

— Prawda mój Zygmusiu, jest to bardzo piękne miejsce; ten staw, te wzgórza odbijające się w nim jak w żwierciedle, ta budowa, wznosząca się po nad wodą z swemi wysokiemi galerjami, wszystko to razem wzięte przedstawia uroczy i malowniczy widok. Przed laty, gdy obchodzono tu uroczystość położenia kamienia węgielnego pod budowę pływalni, i poźniej

gdy stawiano pomnik założycielowi tej szkoły pływania, oświetlono cały ten budynek niezliczoną liczbą różnókolorowych lamp i transparentów, a promienie tych świateł, łamiące się w źwierciedle wody, podnosiły urok wspaniałego wieczora. Huk dział rozstawionych po nadbrzeżnych wzgórzach, gwar ludu licznie zgromadzonego i piękna muzyka wojskowa wszystko to wiązało się w zachwycającą całość.

— Gdzie ja byłem wówczas dziaduniu kochany, i czemu mię tu nie przyprowadziłeś na tę uroczystość?

— Moje dziecię, odpowie staruszek, ciebie jeszcze nie było wówczas na świecie.

— Więc to już tak dawno?

Dziadunio pomyślał chwilkę, aby sobie dokładnie ten czas przypomnieć i rzekł:

— Wyszło mi całkiem z pamięci, jednak musiało to być około roku 1820.

— Ho, ho! to bardzo dawne czasy!

— Tak, jest już temu przeszło czterdzieści lat.

— Jednak kochany dziaduniu, są wypadki stokroć dawniejsze od tej uroczystości, które przecież dziadunio ma w pamięci; na przykład owo zwycięstwo Sobieskiego, o którem opowiadałeś mi na Wysokim Zamku.

— Bez wątpienia, rzecze dziadunio, bo to był wypadek którego wpływ uczuł cały naród, a Polak szczególnie czci i przechowuje w swojej pamięci wszystko to co jego naród żywo obchodzi i z bliska dotyka.

Po tej rozmowie znowu obadwa wsiedli do dorożki, i dziadunio kazał jechać przez Stryjskie ku kościołowi św. Mikołaja, ponieważ korzystając z pogody chciał zaprowadzić wnuka do ogrodu botanicznego, będącego w pobliżu tego kościoła, ale zamiar się im nie powiódł, bo ogród botaniczny był już zamknięty. Zygmuś zmartwił się tem bardzo, ale dziadunio przy-

rzekł mu że jeśli będzie jak dotąd pilny i posłuszny, to go tu kiedy indziej zaprowadzi.

— A teraz, póki czas, jedźmy do ogrodu jezuickiego, rzecze dziadunio.

Zaturkotała dorożka po moście św. Jana, pod którym strumienie Soroka i Pasieka łącząc się z sobą dają początek rzece Pełtwi, i potoczyła się dalej ulicą na plac Marjacki, tak nazwany od statuy Najświętszej Marji Panny, wykutej z białego marmuru tyrolskiego, a przez hr. Anielę Badeniowę ofiarowanej na ozdobienie tego placu, gdzie ją też przy wspaniałej studni ustawiono. Gdy mijając ulicę Sykstuską skręcali na Pojezuicką, dziadunio rzekł znowu:

— Czy uwierzysz Zygmusiu, że w tem miejscu gdzie dziś stoją rzędy tych wspaniałych kamienic, przed siedmdziesięcią kilką laty polowano na dzikie kaczki?

Zygmuś byłby z pewnością nie uwierzył, gdyby to ktoś inny a nie dziadunio powiedział.

Wreszcie zatrzymała się dorożka przed ogrodem. Dziadunio i Zygmuś wysiedli i odprawiwszy dorożkę, udali się aleją w głąb ogrodu. Zdala dolatywały ich odgłosy muzyki, a uszedłszy kilkadziesiąt kroków ujrzeli w całej okazałości stojący w środku ogrodu prześliczny domek gościnny, rzęsisto oświetlony. Mnóstwo osób przechadzało się po ogrodzie, i dziadunio musiał wszędzie prowadzić Zygmusia.

Uderzyła go wspaniałą swoją budową cerkiew św. Jerzego, którą ztąd widać bardzo dobrze na szczycie góry. Dziadunio obiecał zaprowadzić go tamże w innym czasie.

Gdy po półgodzinnej przechadzce wyszli z ogrodu, udali się na wały hetmańskie, a Zygmuś ujrzawszy wspaniały pomnik hetmana Jabłonowskiego pragnął odczytać napis na nim umieszczony, ale już było ciemno. Poszli tedy dalej wałami i minąwszy kościół jezuicki, skręcili ku katedrze, a ztąd zo-

stawiwszy rynek na boku, ulicą Halicką ku kościołowi OO. Bernardynów. Idąc ku Łyczakowu Zygmuś raz jeszcze spojrzał w aleję którą przechodził na początku przechadzki; smukła wieża cerkwi Wołoskiej, i wspaniała kopuła kościoła Dominikańskiego szarzały w cieniu. Gdy dochodzili do domu godzina ósma wybiła na zegarze ratuszowym.

Z HISTORJI NATURALNEJ.

NIEDZWIEDŹ.

Niedźwiedź, którym do dziś jeszcze dzieci straszą a wszystkich niezgrabnych i ociężałych prześladują, boć ich z niedźwiedźmi porównywać zwykli, a więc ten niedźwiedź, którego teraz chyba czasem w mieście obaczyć, kiedy go na łańcuchu oprowadzają — jest zwierzę ssące. Należy on do tego samego gatunku, do którego należą zwierzęta następujące: Jaźwiec, rusomak, jeż, piżmowiec i nasz psotnik po łąkach, kret.

Największy on ze zwierząt drapieżnych Europy. Niegdyś licznie rozmnożony w polskich krajach, dziś już o wiele rzadszy ale jeszcze istniejący. Skład jego zwięzły i ociężały; włos długi, kudłaty; głowa wielka z zaostrzonym pyskiem; ogón krótki i jakby ucięty u końca; stopy u nóg przeciągłe na podobieństwo ludzkich.

Niedźwiedź dawniej we wszystkich częściach Polski przebywał. Dziś już go nie widać w zachodnich częściach kraju. W Litwie nawet stał się już rzadkim, i we wschodniej jedynie tylko części zamieszkuje. Ustały już zatem owe tak nazwane szkoły niedźwiedzie w Smorgoniach, w Kownie i t. d.; gdzie je do różnych sztuk przyuczano i potem po różnych krajach Europy jako ciekawe widowisko oprowadzano. Dziś już tylko

gubernje mińska, wołyńska, witebska, mohilewska, a w południowej stronie Galicja, w pobliżu gór Karpackich, ród niedźwiedzi zachowuje; a przy ciągłem ich umniejszeniu i znikaniu, wnioskować można że w górzystych tylko kryjówkach dłużej się ten zwierz utrzyma. Równie też i w reszcie Europy, po zarosłych tylko lub skalistych górach, jako to w Alpach i w Pireneach, utrzymują się niedźwiedzie. Tam też szczególny ich się nawija podgatunek, to jest: biały niedźwiedź, którego nie trzeba pomieszać z owym sławnym lodowatym niedźwiedziem, wcale innego kształtu, o którym północni podróżni tyle wspominają. W polskich zaś krajach dwa szczególnie się przedstawiają gatunki t. j. większy kasztanowaty niedźwiedź i mniejszy czarny.

Niedźwiedzica rodzi dwa do trzech niedźwiadków. Te ślepo się rodzą, są bardzo małe, i światło-żółtawej szerści. W drugim roku już młode niedźwiedzie starych opuszczają, w czwartym idą w pary, i później jeszcze do lat piętnastu wyrastają; poczem jeszcze żyć mogą do lat trzydziestu. Pokarm niedźwiedzia składa się po części z żyjących zwierząt, po części z owoców, jagód, wielorakiego zielska, nakoniec z owadów, a szczególnie z mrówek. Mniejszy, to jest czarny niedźwiedź, który bardziej roślinnego pokarmu się trzyma, zwykł często łazić na drzewa, dla wybierania miodu z barci; i ztąd go b a r t n i k i e m przezwano. Takowe włażenie zręcznie bardzo odbywa; złażąc zaś z drzewa powolnie i tyłem się spuszcza. Niedźwiedź w ogólności biega miernie, pływa dość dobrze, ale nie długo. Bronią jego są łapy przednie, któremi bije lub mocno ściska nieprzyjaciela; zębów zaś w utarczce rzadko używa. Głosem niedźwiedzia mruczenie, lub głośne sapanie. Rozgniewany lub przestraszony ryczy, i niekiedy zębami zgrzyta.

W jesieni niedźwiedź bardzo tyje, i całą zimę w ciągłem odrętwieniu i nieruchomości przepędza; i na ten cel w niedostępnych ustroniach z miękkich gałęzi i mchu wygodne sobie ściele legowisko. Przespawszy tak bez pokarmu zimowe miesiące, dopiero w kwietniu opuszcza posłanie. Jeśli go kto

wcześniej z legowiska wystraszy, dla leniejącej skóry z trudnością tylko chodzić może i wtenczas łatwo być może ubitym.

Poluje się na niedźwiedzie dla futra, które jest gęste, długie i ciepłe. Szacowniejsze i popłatniejsze jest futro czarnego niż kasztanowatego niedźwiedzia. Mięso też niedźwiedzie jest jakkolwiek jadalne, a łapy jego nawet za przysmak są uważane. Polowanie na niedźwiedzi nie jest tyle niebezpieczne jak się wielu osobom wydaje; albowiem zwierz ten trwożliwej jest natury, i przed człowiekiem ucieka. Wszelako gdy rozdrażniony jest zadaną mu raną, rzuca się na strzelca i wtenczas niekiedy strasznym się staje. Najpewniejszym sposobem ustrzedz się gniewu niedźwiedzia jest upaść na ziemię, powstrzymać oddech i udawać nieżywego.

Za dawnych polskich czasów, gdy jeszcze niedźwiedzie były pospolitsze, nietylko trzymano je oswojone po domach, ale nawet do niejakiej posługi używano. Takim jednak niedźwiedziom, dla większego bezpieczeństwa, pysk kagańcem ściskano, pazury u stóp obrzynano, i nieraz przednich nóg golenie wyłamywano. Dziś jeszcze w miejscach gdzie się natrafiają niedźwiedzie, zwykli po dworach wiejskich ścigać je psami dla rozrywki. Zabawną jest wtenczas dla widzów zmyślność i zręczność niedźwiedzia, który cokolwiek złapie na nacierające psy rzuca, i nieraz nawet długim kijem czy drągiem jakby człowiek się broni. Ta właśnie przyrodzona zmyślność niedźwiedzia, i ta okoliczność że dla kształtu stóp na dwóch nogach wygodnie stać może, powiodły ludzi do wyuczenia go, na wzór małpy, różnych tańców, i innych sztucznych postaw i ruchów.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w a Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna **Aniela Zawadzka.** Drukiem K. Pillera 1864.